

Słowa mogą być bronią

2 września 2013

Na czym polegają dzisiaj wrażliwość społeczna i także zaangażowanie najwybitniejszych polskich ludzi kultury? Odpowiedź jest oczywista: na potępianiu rodzimego Ciemnogrodu oraz na dbaniu o środowiskowe interesy. Przez ponad 20 lat istnienia III RP do wyjątków należały sytuacje, gdy twórcy o głośnych nazwiskach zabrali głos w sprawie istotnych problemów społecznych.

Jasne, istnieje i regularnie przypomina nam o sobie instytucja tzw. listów otwartych, sygnowanych przez postacie znane i uznane, nagradzane, wychwalane, z samych szczytów zasług i splendoru. A to potępią Rydzyka, a to oburzą się na prowincjonalny przypadek antysemityzmu, a to zachęcają, abyśmy byli bardziej europejscy niż czołowe kraje Europy. Ich autorzy są niezwykle pomysłowi i odważni, skoro z otwartą przyłbicą wygłaszają opinie wygłaszane przez... wszystkie wielkie i wpływowe media.

W efekcie zamiast głosu narodowego sumienia mamy głos środowiskowego kołtuna. I co z tego, że ów kołtun jest nowoczesny, wykształcony, obyty i bywały, skoro jego opinie są tak samo konformistyczne i bezrefleksyjne, jak poglądy najciemniejszego tłumu? Pani Dułska pozostaje sobą także wtedy, gdy posiada profesorski tytuł lub jest laureatem/-ką prestiżowej nagrody. Inna rzecz, że co drugi z tych „listów otwartych” nawet nie udaje głosu w sprawie na serio publicznej – jest obroną którejś z kolesiowskich instytucji, uznaniowo stworzonej posady czy dotacji przeznaczonej dla „samych swoich”.

Próbuję sobie przypomnieć przypadek, gdy nazwiska z górnej półki zabrały głos w obronie słabszych i pogardzanych, a przy tym niemodnych środowisk. Czy upomniały się, dajmy na to, o rolników żyjących na skraju biedy, o ich dzieci pozbawione

perspektyw, o wielkomiejskich bezrobotnych, o kolejne grupy zawodowe tracące „przywileje” w postaci stałej umowy o pracę czy pensji ciut wykraczającej ponad poziom przetrwania, o likwidowane prowincjonalne biblioteki i szkoły, o brakujące przedszkola i bankrutujące szpitale? Bieda, bezrobocie, zapaść cywilizacyjna całych rzesz i regionów, jawnie szkodliwe decyzje wymierzone w najsłabszych, cynizm i pogarda okazywane im przez elity władzy i biznesu – to wszystko przechodzi bez reakcji luminarzy literatury i sztuki. Syci i zadowoleni mają syte i zadowolone poglądy. W końcu byt określa świadomość, jak zauważył pewien niemodny dziś myśliciel.

Podobnie jest z twórczością takich person. Polska ostatnich dekad – gdyby sądzić na podstawie rodzimego dorobku kulturowego tuzów tego świata – jest krajem szczęśliwym, nieomal kwitnącym. Jeśli coś tu odbiega od ideału, to jedynie dlatego, że ktoś indywidualnie zbłądził czy zgrzeszył, tak samo przypadkowo, jak przypadkowo trąba powietrzna powstaje niekiedy nad zamieszkałą okolicą, nie zaś w szczerym polu. Czasem w ich filmach czy książkach ktoś pije, bije żonę lub stracił pracę albo wolność, bo pił lub bił żonę. Problemy społeczne, a tym bardziej ich systemowe uwarunkowania niemal nie istnieją w twórczości sławnych i znanych.

Ktoś powie, że kultura, sztuka i literatura nic nie muszą, że twórca to człowiek wolny, więc w duszy mu gra to, co chce. Nie zmuszajmy nikogo do pisania, wyśpiewywania, fotografowania czy malowania biedy, bo to się skończy źle. Wolna myśl i talent umrą śmiercią naturalną, gdy spróbujemy wtłoczyć je na siłę w „tematykę społeczną”. Czeką nas wówczas powtórka z socrealizmu, polityka zabija sztukę, będzie nudno, szaroburo i ponuro, widz lub czytelnik zacznie ziewać lub przeklinać złe ułożenie gotówki w takim nieporadnym dziele sztuki. Oczywiście te obawy odchodzą w niepamięć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy trzeba schlebiać silnym i możnym. Wtedy pani Dulska płci obojga popiera, protestuje, apeluje, tworzy komitety honorowe, oburza się i ostrzega. Kiedyś

artystyczne wolne duchy mówiły non serviam – nie będę służył. Dzisiaj powtarzają za politycznymi kołtunami sprzed ponad stulecia, że przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy. I nieważne, czy Najjaśniejszymi Panami są premier i minister finansów, czy znany biznesmen lub organizacja „pracodawców”, czy wpływowa gazeta, której nie jest wszystko jedno.

Można by ciągnąć ten lament jeszcze długo, ale bardziej wymowne jest skonfrontowanie postaw dzisiejszych Pań Dulskich z ich poprzednikami po fachu. Z ludźmi, którym talent i szerokie horyzonty nie tylko nie przeszkadzały oprócz uprawiania „czystej sztuki” interesować się problemami społecznymi, ale wręcz przeciwnie – uważali oni, że właśnie ów talent i związane z nim pozycja i autorytet zobowiązują ich do ukazania problemów trudnych, niewygodnych i zamiatanych pod dywan.

Przypominamy w dziale „Nasze Tradycje” bardzo drobny wycinek takich postaw. Pierwszy z tekstów to fragmenty książki Pawła Hułki-Laskowskiego. Dziś to postać raczej zapomniana, jeśli kojarzona przez szersze rzesze, to jako pierwszy polski tłumacz „Przygód dobrego wojaka Szwejka”, za życia należał jednak do literackiego mainstreamu. Oprócz książki Haška przełożył na nasz język dzieła m.in. Jonathana Swifta, Karela Čapka, J. F. Coopera, wydał kilka książek własnych, publikował liczne teksty w najważniejszych czasopismach literackich międzywojnia. Wśród jego znajomych byli nie tylko liczni ludzie kultury czy wpływowe postacie rodzimej polityki, ale i np. prezydent Czechosłowacji, T. G. Masaryk. Mógł do woli brylować na salonach, walczyć z „ciemnogrodem”, uprawiać „czystą sztukę” itd. Zrobił jednak coś zgoła przeciwnego.

Przez 8 lat prowadził wyteżoną kampanię publicystyczną, próbując zwrócić uwagę opinii publicznej na to, co dzieje się w jego rodzinnym mieście – Żyrardowie. A działo się bardzo źle. Wielkie zakłady włókiennicze, niegdyś znane w całej Europie i stanowiące jeden z symboli przemysłu na ziemiach

polских, były stopniowo doprowadzane do ruiny przez – jak byśmy to dziś nazwali – „inwestora zagranicznego”, konkretnie zaś francuskiego, który przejął fabrykę na początku lat 20. Prowadzono tam rabunkową gospodarkę, nie licząc się z nikim i niczym – ani z pracownikami, ani z lokalną społecznością, dla której zakłady były niegdyś głównym żywicielem, ani z interesami państwa polskiego i z jego regulacjami prawnymi. Było tam wszystko, co najgorsze: i straszliwy wyzysk, i wyrzucanie setek ludzi na bruk, i zrujnowanie budżetu miasta, i oszustwa podatkowe, i fałszowanie wyrobów, i nielegalny transfer zysków zagranicę itd., itp.

Hulka-Laskowski poruszył niebo i ziemię, żeby temu przeciwdziałać – napisał wiele artykułów w prasie wszelkiego rodzaju, przygotował liczne apele do władz różnego szczebla, dwoił się i troił, żeby ratować swoją „małą ojczyznę”, choć mógł wyjechać gdziekolwiek i tam się beztrosko urządzić. Zwieńczeniem jego wysiłków była książka „Mój Żyrardów”, wydana w roku 1934. Otwierała ją wymowna dedykacja: Robotnikom żyrardowskim, towarzyszom walk i porażek, z wyrazem niezłomnej wiary w ostateczne zwycięstwo.

Książka to przeplatana wątkami autobiograficznymi swoista kronika upadku miasta pod jarzmem bezwzględного kapitału. Pełna emocji, osobistych refleksji, ale i bardzo rzetelna pod względem dokumentacyjnym – fakty, daty, nazwiska i liczby są tu zebrane pieczołowicie, brzmiąc jak fachowa mowa oskarżycielska. Przypominamy niewielki fragment „Mojego Żyrardowa”, które mówią same za siebie w kwestii postawy pisarza. Warto wszakże zwrócić uwagę na jedno – otóż Hulka-Laskowski nie tylko dokumentuje lokalny przypadek, bliski mu z racji pochodzenia (jego rodzice – i on sam w młodości – byli pracownikami zakładów żyrardowskich, zanim rozpoczęła się tam gospodarka rabunkowa) i zamieszkania. Jego refleksje wykraczają poza Żyrardów i jedną fabrykę – obserwując ich losy, pisarz nabiera świadomości społecznej, dostrzegając, że choć sytuacja lokalna jest w swej brutalności może wyjątkowa,

to stanowi przejaw szerszej tendencji. Tak oto z literackiego pięknoducha rodzi się człowiek dostrzegający strukturalne wady ówczesnego porządku ekonomicznego i dający w książce świadectwo owej przemiany.

Warto dodać jeszcze jedno, żeby opowieść była pełna. Otóż 8-letnia kampania Hułki-Laskowskiego przyniosła efekt. W ślad za jego artykułami i apelami poszły w końcu działania wymiaru sprawiedliwości i władz publicznych. W 1934 r., kilka miesięcy po wydaniu „Mojego Żyrardowa”, państwo polskie angażuje się w rozwiązanie problemu – dzieje się to na szczeblu międzynarodowym i owocuje konfliktem dyplomatycznym z Francją, nie obywa się bez procesów sądowych, ale po dwóch latach właścicielem fabryki zostaje Państwowy Bank Rolny. Od 1936 r. zakłady dźwigają się z upadku, rosną produkcja i zatrudnienie, miasto ożywa.

Kolejny przypomniany przez nas tekst to fragment „Rozdroża” Marii Dąbrowskiej. Autorki przedstawiać nie trzeba, natomiast o książce nieco mówi jej podtytuł – „Studium na temat zagadnień wiejskich”. Praca ta to fachowy, pełen skrupulatnie zebranych informacji niemal 200-stronicowy apel o rozwiązanie palącego problemu, jakim była w ówczesnej Polsce sytuacja chłopów i mieszkańców wsi. Mówiąc krótko, były to realia przeraźliwej biedy, zacofania i braku perspektyw. Dąbrowska stała się głosem tych ludzi, wołając o wielkie reformy społeczne, które pozwolą im wydobyć się z dna otchłani. W kwestii doraźnej był to także apel o przeprowadzenie wreszcie autentycznej reformy rolnej, która wskutek oporu warstw posiadających była przez niemal cały okres II RP realizowana w formie szczątkowej. W książce tej, wydanej w roku 1937, pisarka upomina się jednak nie tylko o chłopów czy wieś. Wskazuje ona, że poprawa kondycji tych terenów i warstw społecznych jest kluczem do rozwoju i umocnienia państwa polskiego jako takiego. Można powiedzieć, że to modelowy przykład obywatelskiej troski o dobro publiczne, o Rzeczpospolitą.

Fragmenty „Rozdroża” wybraliśmy nieprzypadkowo. Maria Dąbrowska była od młodości związana z inicjatywami społecznymi. W wieku niespełna 20 lat weszła w krąg lewicowo-ludowego pisma „Zaranie”, wkrótce potem stała się entuzjastką i propagatorką ruchu spółdzielczego, była wszędzie tam, gdzie powinna być zaangażowana inteligencja, czyli wśród słabych i wykluczonych, oraz tam, gdzie powstają inicjatywy mające ich zorganizować w celu poprawy losu. Wśród jej publikacji nieliterackich są broszury takie jak np. „Finlandia – wzorowy kraj kooperacji”, „Kooperatyzm we wsi belgijskiej” (obie napisała w wieku zaledwie 24 lat) czy „Spółdzielczość zwyciężająca”, a jej broszura „O wykonaniu reformy rolnej” została wydana w roku 1921, czyli w początkach odrodzonej Polski.

„Rozdroże” jest jednak warte szczególnej uwagi. Powstało, gdy jego autorka była już znaną i cenioną pisarką – momentem kluczowym była tu edycja „Nocy i dni” w latach 1932-1934. Również ona, podobnie jak Hulka-Laskowski, nie musiała już zajmować się żadnymi kwestiami społecznymi, a tym bardziej takimi i w taki sposób, które z punktu widzenia możliwych i wpływowych były bardzo niewygodne. Tymczasem pisarka uważała, że nadal ma zobowiązania społeczne, nie mniej ważne niż kariera literacka. Jej książka wywołała wielką dyskusję na temat problemów wsi i rolnictwa, nierzadko były to głosy oburzenia i potępienia albo polemiki dalekie od rzetelności, za to napastliwe wobec autorki. Ona nie tylko nie wycofała się ze swego stanowiska, ale w dodatku rok później opublikowała kolejną książkę – „Moja odpowiedź. Refleksje nad polemiką z »Rozdrożem«”, gdzie jeszcze dobitniej sformułowała swoje stanowisko. Nie była to zresztą ostatnia tego rodzaju publikacja Dąbrowskiej – już kilka miesięcy później na księgarskie półki trafił jej książkowy reportaż „Ręce w uścisku. Rzec o spółdzielczości”. To jedna z najlepszych publikacji dokumentujących rozwój polskiego ruchu spółdzielczego oraz biorących go w obronę przed zarzutami warstw posiadających.

W tekstach Hulki-Laskowskiego i Dąbrowskiej warto zwrócić uwagę na pewną kwestię. Otóż to nie są li tylko apele do sumień, napisane pod wpływem emocji w obronie słusznej sprawy. Oboje poświęcili omawianym problemom wiele wysiłku. Ich książki zawierają mnóstwo informacji wymagających wgryzienia się w temat i wytrwałości, powstawały miesiącami, które można było poświęcić na cokolwiek innego. To coś więcej niż odruch serca oburzonego na taki czy inny problem – to przemyślany, poważny wysiłek ludzi przekonanych o tym, że jego podjęcie stanowi społeczny obowiązek.

Trzeci z prezentowanych tekstów ma charakter nieco inny niż poprzednie. Autora, Stefana Żeromskiego, również nie trzeba przedstawiać. Jego zaangażowanie społeczne jest podobnie wieloletnie i imponujące jak w przypadku Dąbrowskiej. Był m.in. współzałożycielem „uniwersytetu ludowego” w Nałęczowie, wymyślił dla spółdzielczości spożywców nazwę organu prasowego (która później stała się nazwą całego ruchu) – „Społem”, u zarania II RP brał udział w powołaniu Towarzystwa Przyjaciół Pomorza, apelował o obronę polskości Spisza, był inicjatorem utworzenia związku zawodowego literatów itd.

Prezentowany tekst poświęcony jest jednak grupie stosunkowo niewielkiej, ale wyjątkowej – żołnierzom, którzy stracili wzrok w czasie wojny. Są to zarazem osoby wymagające pomocy, słabsze i niesamodzielne, a jednocześnie ludzie, którzy zdrowie narażali w celu szlachetnym, jakim jest walka o niepodległość. Dlaczego ów tekst jest szczególny? Stefan Żeromski poparł „Latarnię” – towarzystwo pomocy ociemniałym – nie tylko słowem, ale i czynem. Był członkiem owej inicjatywy, a nawet pełnił w niej społecznie, do czasu znacznego pogorszenia stanu swego zdrowia, funkcję skarbnika. Zbierał składki, drobiazgowo je notował i rozliczał wydatkowanie, wszystko to robiąc już w czasach, gdy był bodaj najbardziej szanowanym żyjącym polskim pisarzem, postacią nieomal pomnikową. Gdy zmarł, niewidomi nazwali jego imieniem swą świetlicę terapeutyczno-integracyjną w Warszawie.

Cóż można dodać na temat postaw trojga literatów, których teksty prezentujemy w niniejszym numerze? Wystarczy jedynie tyle, że na ich tle bardzo kiepsko wypadają dzisiejsze „wielkie nazwiska” polskiej literatury. Pani Duńska zatriumfowała – oby nie na zawsze.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Nowy Obywatel](#)